

Zofia Stefanowska

Michał Głowiński jako badacz nowomowy

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 4 (16), 101-106

1992

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Zofia Stefanowska

Michał Głowiński jako badacz nowomowy

Rzecz intrygująca: co kierowało Michałem Głowińskim, kiedy podejmował temat nowomowy, co go skłoniło do wieloletnich i systematycznych studiów nad językiem politycznym w PRL. Profesor Głowiński jest uczonym akademickim w dobrym tego słowa znaczeniu, wybitnym fachowcem od historii i teorii literatury. Wśród humanistów nie brak skądinąd badaczy o niekonwencjonalnych zainteresowaniach, kolekcjonerów osobliwości, oryginałów. Ale Głowiński do nich nie należy, Głowiński jest nieskazitelnym profesjonalistą. Więc dlaczego takie hobby? A przekształciło się ono w warsztat naukowy z bogatą dokumentacją, teorią nowomowy i metodologią jej badania. Coś tam wiemy o motywach, które kierowały Michałem Głowińskim, sam o nich pisze: że chciał zostawić świadectwo czasu, w którym wypadło mu żyć, że chciał — po drugie — uzyskać jakąś niezależność od koniunktury politycznej, taką mianowicie niezależność intelektualną, jaką daje pisanie do szuflady. To tłumaczy wiele, ale nie tłumaczy wszystkiego. Nie tłumaczy sukcesu, nie tłumaczy, dlaczego zamiar zrealizowany został w takiej skali (*Nowomowa po polsku* i *Marcowe gadanie*) i w sposób tak błyskotliwy.

Przyczynę sukcesu — bardziej nawet niż w przygotowaniu zawodowym: rzetelnej wiedzy w dziedzinie socjologii języka — upatrywałabym w mentalności badacza. Michał Głowiński zachował siłę nieprzyzwyczajania

się, nie dal się oswoić otoczeniu językowemu. Zachował zdolność dziwienia się językowi. Naiwną, niemal dziecięcą odwagę zadawania bezczelnie prostych pytań.

Ocenić taką postawę mogą ludzie mojego pokolenia i paru pokoleń sąsiednich, ludzie, których całe dorosłe życie upłynęło wewnątrz PRL, którym ten język towarzyszył nieustannie nie tylko jako szum informacyjny, nie, poddawał się przecież interpretacji, umieliśmy z niego korzystać jak ze źródła — prawda, że pośredniego — wiedzy o sytuacji politycznej. Przerazał nas w czasach grozy, jak marzec 68, jak inwazja Czechosłowacji. Był też przedmiotem ironicznej obserwacji i dobrej zabawy. „Nie różami, rzecz jasna, usłane jest nasze życie” — to Bierut z całą otwartością mówił o katastrofie gospodarczej. A Gomułka, kiedy po kolejnej zmianie ceny elektryczności, czyli podwyżce, stwierdzał, że klasy robotniczej wzrost ceny nie dotknie, bo nafta nie podróżowała. Fascynująca wizja klasy robotniczej w izbach oświetlonych kagankami. Byliśmy z tym językiem zżyci, słuchaliśmy go nieustannie (bywało, wychodziło się z domu przy akompaniamencie przemówienia Gomułki i po paru godzinach, wracając, słyszało się go w radio ciągle jeszcze przemawiającego), czytaliśmy wreszcie gazety. Przedmiot, który wszyscy, chcieli czy nie, mieli stale pod ręką. Michał Głowiński odkrył go dla usystematyzowanej refleksji intelektualnej, zadziwił się nim, w codzienności odnalazł egzotykę, z badania języka PRL stworzył osobną dziedzinę, w której krzyżują się zainteresowania językoznawcze, socjologiczne, historyczne. Dominuje jednak historyk, historyk i kronikarz historii bieżącej.

Można by tu wysunąć taką obiekcję: autor wyjątkowo tylko korzysta z przywileju wiedzenia lepiej, który historykowi daje perspektywa czasowa i kumulacja doświadczeń. Głowiński celowo rezygnuje z perspektywy, skraca dystans, chce być blisko, jak najbliżej dokumentu. Nawet w szkicach interpretacyjnych z książki *Nowomowa po polsku* czas i okoliczności pisania stanowią integralną część tekstu. Jeśli, dajmy na to, autor się pomylił, np. w r. 1980 dał się ponieść entuzjazmowi i w szkicu *Nowomowa tuż po Sierpniu* przepowiadał jej koniec, to swojego ówczesnego wywodu, publikując go teraz, nie naruszył, dodał tylko *Post scriptum*: że tamtą optymistyczną diagnozę traktuje jako dokument czasu, w którym powstała, i dlatego jej nie koryguje, choć mądrzejszy jest o doświadczenia całego roku. Tylko jednego roku, bo *Post scriptum* pochodzi z jesieni 1981 i wydrukowane zostało bez zmian.

Zasada „blisko dokumentu”, zasada kronikarska panuje w sposób ostentacyjny w *Marcowym gadaniu*. Komentarze ułożone są w sekwencję dziennika, opatrzone dziennymi datami; inaczej być nie może, bo odnoszą się (w przeważającej liczbie) do aktualności dnia. Notatki pisane do szuflady, po latach wyciągnięte, *in crudo* wydrukowane w książce. Autor niczego w nich nie zmieniał, co najwyżej coś tam skrócił. Tak twierdzi i nie ma powodu mu nie wierzyć. Ale mój Boże, jak daleko odbiegają te zapisy od zwykłej notatki kronikarskiej. „Złudna twa prostota”, można powiedzieć za poetą. Te zapiski, niektóre kilku-, inne kilkunastozdaniowe, czasami stronicowe, skomponowane są według zasad strategii literackiej. Czytelnik, dla którego były pisane, odbiorca wirtualny, żeby posłużyć się własnym terminem Głowińskiego, to ktoś taki jak Guliwer wśród Struldbuggów: obyczaje (językowe, ale nie tylko językowe) w kraju realnego socjalizmu to dla niego dziedzina egzotyczna, nieprzejrzysta, tłumaczyć mu więc trzeba różne oczywistości, co Głowiński robi, i tu właśnie okazuje się pierwszorzędną rolą tego zdziwienia, o którym wspomniałam. W zdziwieniu — bardziej jeszcze niż w oburzeniu — ujawnia się wspólnota autora i jego Guliwera, czyli odbiorcy wirtualnego. Zasadnie więc można mówić o wyrafinowanej technice literackiej tych notatek, ujawniającej się jeszcze w takich elementach kompozycyjnych jak hasłowy tytuł każdej notatki, zamykanie każdej puentą, aforyzmem, jakiegoś typu uogólnieniem. I jeszcze: przy dominacji stylu rzeczowego, informującego, dobitnie działają nieliczne sformułowania nacechowane osobistymi emocjami, np. o komentatorach radiowych, którym „chciałoby się dać (...) w mordę”¹. Nie potrafię rozstrzygnąć, czy to sam przedmiot, czy strategia autora w *Marcowym gadaniu* wywołuje intensywne wrażenie obcowania z historią, jeszcze gorącą, jeszcze pulsującą wydarzeniami: historią bieżącą. Mała notatka, parę zaledwie zdań, a jakież obszary tej historii ewokuje. Czytam np. o „synach pułku”, o tym, jak mnożą się „wzruszające opowieści o bohaterskich dzieciach walczących z Niemcami”, że wyraża się w nich intencja zmilitaryzowania świadomości społecznej oraz narzucania infantylnych wzorów osobowych.² Czytam o tych synach pułku i przed oczami staje mi postać paroletniego dziecka w hełmie ustawiona na murach staromiejskich jako pomnik małego powstańca.

¹ *Marcowe gadanie. Komentarze do słów 1966–1971*, Warszawa 1991, s. 260.

² Tamże, s. 84.

Wypisz, wymaluj, syn pułku. Ileż z tej nieporadnej figurki wyczytać można o uprawianej przez władze PRL grze z historią. Najpierw: niby to koncesja w wieloletniej, ciągnącej się od Października 56 aferze pomnika powstania warszawskiego. Taki pomniczek dla zaspokojenia sentymentów ulicy. Bohaterskie dziecię. No właśnie, po drugie, pomniczek ma współdziałać z oficjalną interpretacją powstania: bohaterska młodzież wciągnięta do walki przez zbrodniczych polityków. Pomniczek ma utrwać stereotyp powstańca jako dziecka nieświadomego, o co walczy. Stereotyp młodych chłopców w za dużych hełmach niemieckich, tak jakby głowy polskich osiemnasto-, dwudziestolatków były mniejsze niż ich rówieśników, poborowych z Wehrmachtu. Pokolenie „synów pułku”.

Drugi przykład, artykuł o „peryfrazach współczesnych” z *Nowomowy po polsku*. Przypomina od razu drobne notatki prasowe, obojętne właściwie politycznie komunikaty PAP-owskie. Zawsze miałam wrażenie, że pracuje nad nimi surowa purystka, której naczelnym zadaniem jest niedopuszczanie do powtórzenia tego samego wyrazu. Stąd w notatkach pleniły się (może i jeszcze plenią) w pełni skonwencjonalizowane peryfrazy: czarny minerał, słodki towar, pożyteczny ziemiopłod itd. U Głowińskiego znaleźć można całą serię bardziej jeszcze pretensjonalnych. Do jego artykułu o peryfrazach chciałoby się gdzieś w przypisie dodać anegdotę pt. „Zemsta peryfrazy”, szeroko w swoim czasie znaną. Mam na myśli napisane przez Jaszczę i opublikowane w „Trybunie Ludu” wspomnienie pośmiertne o George’u Bernardzie Shaw (zm. 1950). Żeby nie powtarzać nazwiska, Jaszczę pisał przemiennie: raz G. B. S., raz — peryfrastycznie — „wielki kpiarz”. Pech chciał, że rezultatem takiego mechanizmu stylistycznego stało się zdanie: „Wielki kpiarz nazwał Stalina największym człowiekiem swojej epoki”.

Przywołując te przykłady, daję się Głowińskiemu sprowokować: *Marcowe gadanie* ma formę otwartą, kalendarzowa sekwencja notatek kusi innych świadków czasu do uzupełnień: czy pamiętasz jeszcze to i tamto? Byliśmy przecież, my także, spoufaleni ze zjawiskiem, które opisał. Łatwość uzupełniania Głowińskiego jest jednak pozorna. Temu, co było dla nas anegdotą, on nadał postać problemu naukowego.

Nowomowa w Polsce Ludowej nie była samym monologiem, na język oficjalności reakcją było mówienie potoczne, uliczne. Są w *Marcowym gadaniu* i takie zapisy: fragmenty wypowiedzi pełniące wobec nowomowy funkcję dialogową czy *quasi*-dialogową. Przeważnie ta dokumentacja

jest zdobyczą podróży autora, rozmów w pociągu z przygodnymi sąsiadami. Gdybyż to, myślę sobie, los obarczył Głowińskiego funkcją prowadzenia gospodarstwa, jak wielkie, przebogie pole obserwacji językowych otworzyłyby mu godziny wystawiania w sklepowych kolejkach! Albo sprzątaczką, dlaczego w *Marcowym gadaniu* nie występuje jakaś pani Różia czy pani Genia jako źródło lapidarnych ludowych obserwacji? W tym miejscu przypominam sobie rolę służących w twórczości Marii Dąbrowskiej (szczególnie pod tym względem znamienne są *Przygody człowieka myślącego*) jako łączników z ludem, skarbnicy wiedzy o życiu potocznym. Przypominam sobie ten schemat, żaloszny dowód izolacji społecznej inteligenta, i przestaje mnie martwić brak sprzątaczkę u Głowińskiego.

Co nas teraz czeka ze strony języka oficjalnego? Co dzieje się z nowomową po obaleniu władzy komunistycznej, w państwie niezależnym, demokratycznym itd.? Otwieram radio i słyszę, jak w sejmie któryś z posłów mówi o „spekulantach wszelkiej maści”. „Wszelkiej maści”, faworytny zwrot Gomułki, Głowiński poświęcił mu należytą uwagę. Jeśli powiemy, że w przemówieniu owego posła odezwały się „jeszcze” „pozostałości obalonego reżimu”, to wpadniemy w pułapkę: będzie to stwierdzenie doskonale zgodne z obyczajem nowomowy, wprost cytat z języka, ze sposobu myślenia właściwego realnemu socjalizmowi. Ale czy jest ucieczka przed presją tego języka, jeśli nawet Głowińskiemu, czujnemu z czujnych tropicielowi PRL-owskiej frazeologii trafiają się — w jego własnym komentarzu — takie cytaty z nowomowy, jak „pseudopatriotyczny frazes”, typowy dla nowomowy pleonazm.³

Jeśli nowomowę traktujemy jako instrument manipulacji politycznej, narzędzie totalitarnej inżynierii społecznej, to powinniśmy oczekiwać zanikania niektórych choćby, najjaskrawszych jej nadużyć. Ale jeśli to zjawisko żywiołowe, wzniecane — jak zdaje się gdzieś przyjmować autor⁴ — przez nieodwracalne procesy naszych czasów, epifenomen kultury masowej, to cóż zrobić? Zachować postawę niezależnego, ironicznego obserwatora, takiego, jakim był autor *Nowomowy po polsku* i *Marcowego gadania*. Ale to nie są książki sceptyczne ani beznamietne! Przeciwnie, autorem powodowała pasja polityczna, a bardziej jeszcze pasja moralna. „Gdyby dyktatorzy — pisze gdzieś Głowiński⁵ — mieli

³ *Nowomowa po polsku*, Warszawa 1990, s. 67.

⁴ Tamże, s. 52.

wycucie komizmu, dzieje toczyłyby się może choć nieco mniej okrutnie”. Władcy — stwierdza gdzie indziej⁶ — „na śmieszność są nieczuli”. Ideologia demaskatora nadużyć językowych. Pod koniec 1989 dostrzegął Głowiński początek „procesu detotalitaryzacji słów”, choć ostrożnie dodawał „chyba”: „chyba rozpoczyna się”.⁷ Powiedzmy, że taki proces zachodzi, że coś tam bezpowrotnie z języka zniknęło, choć nie wszystko z tego nowego, co się pojawiło, raduje serce. Co począć z pasją moralną autora, z jego tęsknotą do „całej prawdy” — „jednej i niepodzielnej”?⁸ Punktem odniesienia obu książek Głowińskiego, podstawą jego sądu nad językiem jest taka właśnie utopia komunikacyjna: mowa jako funkcja jednoznacznych i przejrzystych stosunków między ludźmi.

⁵ *Marcowe gadanie*, s. 132.

⁶ *Tamże*, s. 188.

⁷ *Nowomowa po polsku*, s. 146.

⁸ *Marcowe gadanie*, s. 280.